ŚWIAT POWIEŚCIOWY.

Nr. 145 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

— A teraz proszę przejrzeć się w źwierciedle! — Arnold z tryumfem o krok się cofnął. — Jak ten szafir ślicznie odbija od jasnych włosów, jak blask oka podnosi! Rany Chrystusowe! coby się działo, żeby panicz nie miał przy sobie starego, poczciwego Arnolda?

Paweł pomrukując jeszcze, ale ciszej niż przedtem, spojrzał jednak w źwierciadło i musiał z siebie być zadowolony, bo już przeciw niczemu nie protestując, wciągnął jasne rękawiczki i przyjął fular niebieski, który naperfumowawszy, Arnold z kokieterją za frak mu założył. Stary kontent ze swojego panicza, raczył mu nawet własnoręcznie podać okrywkę, futro, kapelusz i po schodach sprowadziwszy, sam drzwiczki otworzył i pomógł wsiąść do powozu. Tu pożegnali się najserdeczniej.

Droga do Rosenberg nie wydała się dzisiaj zbyt długą Pawłowi, pomimo jego niecierpliwości, gdyż jechał ukołysany błogiem marzeniem przyszłości, przy boku ukochanej. Jako dziedzic klucza całego, mógł śmiało stanąć przed wdówką czarowną z prośbą o jej rękę. Wiedział wprawdzie, iż ma do zwalczenia pewne uprzedzenia, przywiązane do nazwiska Werdenfels, które zdaje się i pani Hertenstein podzielać, nie przypuszczał jednak, żeby się ta przeszkoda usunąć nie dała. Jakkolwiek piękna dama trzymała się na wodzy wobec niego, nie przekroczywszy nigdy granic zimnej, etykietalnej grzeczności, wzrok jej tak długo badawczo na nim spoczywający zdradzał, iż coś ją do niego pociąga i żywo nim interesuje. Nie domyślał się biedaczysko, iż oko jej szukało obcych rysów, w twarz Pawła zapatrzone, rysów dotąd w pamięci niezatartych, a których on był tak wiernem odbiciem.

W Rosenberg tymczasem wszystko szło dawnym trybem. Sąsiedztwo zawiodło się wielce w oczekiwaniu, iż skoro skończy się rok żałoby, pani Hertenstein rozpocznie życie na wielką skalę, jak to bywało za czasów prezydenta. Dotąd, oprócz księdza Jerzego i Freisinga, nikt się ani domyślał w okolicy, jaka zmiana fatalna zaszła w jej stosunkach majątkowych Anna jednak żałoby nie zrzucała, i ta jej służyła za najlepszą wymówkę, żeby u nikogo nie bywać, nawzajem nikogo u siebie nie przyjmując.

Tego samego dnia przed południem, kiedy Paweł zdążał do Rosenberg, zajechał przed ganek dr. Freising. Zastał tylko pannę Hofer w salonie, i musiał na razie zadowolnić się jej towarzystwem. Byli z sobą od dawna na stopie wojennej; panna Emma nazywała nieraz adwokata suchym, nieznośnym pedantem, bez iskry poezji, niezdolnego do uczuć wznioślejszych, do wyższego myśli polotu, on zaś, przy każdej nadarzonej sposobności, wyśmiewał jej niesłychane zabobony. Panna Hofer była istotnie pod tym względem nieuleczalną, prawdziwem dzieckiem gór. Mimo wykształcenia starannego, oczytania, ocierania się o wyższe sfery towarzyskie, wierzyła święcie we wszystkie przesądy, zabobony, gusła, czary i legendy. Ponieważ się z tem bynajmniej nie kryła, było to powodem do utarczek nieustających z adwokatem. Dziś Freising wyglądał nader uroczyście. Wyfrakowany, wyperfumowany, w jasnych glacé rękawiczkach, trzymał w rękach bukiet przepyszny.

— Ach, jakież róże cudowne! — zawołała panna Hofer. — O tym czasie, niezwykłe u nas zjawisko!

— Pani Hertenstein lubi róże — p. Freising złożył bukiet ostrożnie na stoliku — chciałem jej zrobić miłą niespodziankę.

Cedził słowa, siląc się na ton zupełnie obojętny, gdyż zaczynał go niepokoić wzrok przenikliwy panny Hofer, przyglądający się ciekawie gali niezwykłej, a uśmiech wielce znaczący, który igrał na jej pełnych ustach, gniewał go niesłychanie. Usiadł jednakże, a w pięć minut później już się sprzeczać zaczęli. Panna Hofer zauważyła z pewnym naciskiem: „iż dziś jest piątek“ — co spowodowało natychmiast pana Freisinga do energicznej ryposty:

— Jest więc u pani zapisany piątek, jako dzień feralny? — spytał drwiąco. — O ile pamiętam, w kodeksie ciemnoty i zabobonów, dzień ten używa jak najgorszej reputacji!

— Ja przynajmniej nie przedsiębrałabym w piątek żadnej sprawy ważniejszej — odrzuciła panna Hofer sentencjonalnie, mierząc bukiet okiem drwiącem.

— Co do mnie — Freising wydął usta pogardliwie — czynię zupełnie inaczej, i zwykle piątek wybieram do spraw największej wagi, aby naprawić jego złą sławę,

złożyć świadectwo mojej wolnomyślności, i świecić przykładem tutejszej ludności, pogrążonej dotąd w egipskich ciemnościach, wierzącej święcie w swoją skałę zaklętą, w sławną i niebezpieczną „Dziewicę z lodu“ i w tysiączne inne, tym podobne androny.

Panna Hofer wiedziała aż nadto dobrze, do kogo się odnosi właściwie ten przytyk, i kogo ma rozumieć pod ogólnikiem: „ludność tutejsza“, odrzuciła też mocno podrażniona:

— W pańskich aktach procesowych, nie stoi ma się rozumieć, nic podobnego! Znajduję też nadzwyczaj prozaicznemi i pozbawionemi wszelkiej poezyji dokumenta prawnicze.

— Ja zaś jestem na tyle śmiałym, uważać za nader egzaltowane i nierozsądne wszelkie bajki o duchach i legendy o „Dziewicy z lodu!“

Panna Emma posiniała ze złości.

— Naturalnie! Jako człowiek, powodujący się li zimnym i trzeźwym rozumem, sympatyzujesz pan z prezydentową. Ona, to także umysł wyższy! W nic nie wierzy i wszystkiemu przeczy.

— Za co ją właśnie uwielbiam! — zawołał Freising z zapałem tem szczerszym, iż ku wielkiemu jego zadowoleniu weszła w tej chwili Anna z siostrą do salonu. Ostatnia nie zostawiwszy mu prawie chwili na ukłon powitalny, jednym susem stanęła obok niego i spytała zaciekawiona:

— A wujaszek czemu się dziś tak paradnie we frak ustroił?

Tytuł wujaszka odnosił się jeszcze od lat dziecięcych Lily. Wtedy już adwokat Freising, zajmując się sprawami całej okolicy, zaglądał z częsta i na probostwo w Werdenfels. W serdecznej swojej naiwności, Lily i teraz nie przestała go tak nazywać, o co adwokat bynajmniej się nie gniewał. Wujciu! wujaszku! brzmiało tak roskosznie w ustach młodej panienki i tak jakoś mile głaskało po jego sercu staro - kawalerskiem! Dziś jednak czuł się owym tytułem, jak i pytaniem niedyskretnem dziwnie zmięszany, nie tracąc jednak fantazji rzucił się od niechcenia:

— Spisuję ślubną intercyzę u nas w miasteczku, chciałem jednak przedtem pomówić z łaskawą panią, w pewnej... nader ważnej sprawie.

— Chodźmy zatem Lily! — panna Hofer porwała ją pod ramię — jesteśmy tu zupełnie zbyteczne.

Lily tym razem dała się za drzwi pociągnąć, z niezwykłą uległością. Na wychodnem nie mogła się wstrzymać od pytania:

— Czy to wujcio Freising przyniósł ten bukiet?

— Tak jest! — szepnęła jej Emma na ucho. — Spodziewam się, iż dziś doświadczy na sobie, o ile piątek jest dniem feralnym! — dodała złośliwie, udając się przez korytarz na drugą stronę domu, do swoich dwóch pokoików.

Lily uderzona temi słowami proroczemi, głęboko się zadumała. I frak, i perfumy, i bukiet najbardziej, wszystko jej dzisiaj u wujcia Freisinga wydało się nader podejrzane! Została więc w pokoju obok salonu. Niestety panna Emma drzwi na klamkę zatrzasnęła, przyłożywszy jednak czujnie uszko do szpary u dołu, można było i jednego słówka nie utracić, z czem też nasza ciekawska ani chwili się nie zawahała.

W salonie adwokat przystąpił właśnie do kroków przedwstępnych. Wziął bukiet ze stołu, a podając go pani Hertenstein:

— Róże... dla róż królowej! — przemówił ze sztywną galanterją, widocznie zadowolony niesłychanie z komplimentu, mozolnie naprzód obmyślonego i wystudjowanego. Anna kwiaty przyjęła z miną obojętną, podziękowawszy mu za pamięć. Nawykła od dawna do tych dowodów jego serdecznej przyjaźni, bukiet więc dzisiejszy nie wydał jej się niczem nadzwyczajnem.

— Chciałeś pan o czemś ważnem ze mną pomówić — spytała siadając naprzeciw. — Jest może kupiec dobry na Rosenberg?

— O! wcale co innego! — uśmiechnął się prawnik znacząco. — Mam przeciwnie niepłonną nadzieję, zachować pani tę piękną, letnią siedzibę, gdybyś jak dawniej pragnęła zimę w mieście spędzać.

— Byłoby to dla mnie nader pożądanem — westchnęła Anna — nie widzę jednak możliwości w dzisiejszych moich stosunkach majątkowych... ale nie przerywam... mów pan dalej!...

— Łaskawa pani! — Freising powstał z miną uroczystą. — Jesteś wdową!...

— Och! to niestety nie podpada najmniejszej wątpliwości! — wypatrzyła się Anna, zdziwiona tym wstępem.

— Ja zaś jestem dotąd kawalerem!

— I o tem nie wątpię — Anna szepnęła z wzrastającym niepokojem.

— Smutny to jednak ten stan kawalerski! Co dzień boleśniej czuć mi się daje moja samotność, co dzień więcej tęsknię do miłej życia towarzyszki.

— Panie Freising! — wpadła mu w słowo Anna przestraszona, gdyż nagle zrozumiała bukietu z róż znaczenie symboliczne. Ocknęła się za późno niestety! Adwokat, jak dobrze nakręcona maszynka do grania, nie dał się powstrzymać, słowa płynęły mu gładko, potoczysto, jakby stał przed ławą przysięgłych, broniąc sprawy klienta. Powoływał się na długoletnią znajomość, na zakres szeroki jego czynności adwokackich, wspomniał mimochodem o znacznej gotówce, którą uzbierał pracą mozolną, ale na wskroś uczciwą, przytoczył i tę okoliczność, iż będąc dokładnie obznajomiony z interesami pani Hertenstein, nie kieruje nim żadna myśl pozioma, chciwość i łakomstwo na pieniądze, zakończył wreszcie prośbą oficjalną o rękę pięknej wdówki.

W Anny bladej twarzy, czytało się szczere i nieudane cierpienie. Bukiet na bok odłożywszy, przemówiła po chwili z gorżkim wyrzutem:

— Żeś też szanowny panie mecenasie, nie raczył mnie i sobie oszczędzić tak przykrej chwili! Nigdy nie przypuszczałam, żeby nasze stosunki przyjacielskie,

mogły wzniecić w sercu pana uczucia i nadzieje tak ułudne... inaczej byłabym się starała zapobiedz, nie dopuścić...

— Pani mnię więc odtrącasz? — Freising spuścił głowę, gorżko zawiedziony.

— Mam dla pana najwyższy szacunek, najszczerszą przyjaźń i wdzięczność za tyle, tyle dobrego! za taką pomoc bezinteresowną! za tę nawet propozycję, ze wszech miar dla mnie zaszczytną, ale nic nad to niestety!

— Cóż mi przyjdzie z tego wszystkiego? — adwokat boleśnie głową potrząsnął. — W tem sam sposób odpowiadały mi zwykle damy, gdym je prosił o rękę... i dla tego dotąd nie mogę pozbyć się tego nieszczęsnego kawalerstwa!

— I często narażałeś się pan na podobną nieprzyjemność?

— Już trzy razy! a zawsze, zamiast serca i ręki, obdarzano mnię „najwyższym szacunkiem! najszczerszą przyjaźnią i wdzięcznością dozgonną!“

Szczególne wyznanie brzmiało tak gorżko i smutno, iż Anna stłumiła czemprędzej uśmiech około ust igrający, i rzekła tonem rzewnego współczucia:

— Rzecz doprawdy niepojęta, wobec człowieka tak miłego, dystyngowanego, pełnego zasług. U mnie bo zachodzą stosunki i okoliczności niezwykłe...

— To całe moje nieszczęście, iż zawsze trafiam na takie: „stosunki i okoliczności nadzwyczajne!“ — Freising westchnął cieżko. — Pierwsza dama, do której się zwróciłem, oświadczyła kategorycznie, iż mogłaby tylko artystę pokochać, prawnik zaś, może co najwięcej liczyć na jej szacunek!... i w krótkim czasie malarza poślubiła. Druga z rzędu oznajmiła powołanie do życia klasztornego, mnie przyjaźnią obdarowując na pożegnanie. Trzecia nareszcie, wyznawszy pod sekretem, iż kocha innego, użyła mnie za pośrednika, aby nakłonić rodziców, którzy byli tej partji przeciwni... za co obiecała mi wdzięczność dozgonną; a teraz od pani czwartego kosza dostaję!

— Czy mam dla tego stracić wiernego i w tylu wypadkach smutnych i ciężkich doświadczonego przyjaciela? — Anna spytała, dłoń do niego serdecznie wyciągając.

— Nie, nie stracisz go pani! — zawołał adwokat w szlachetnem uniesieniu, całując rączkę sobie podaną.

A gdy po raz czwarty wszystko poszło wiadomym porządkiem, Anna zaś chcąc cokolwiek cios złagodzić, zarzuciwszy szal ciepły na głowę i ramiona, aż do bramy konkurenta niefortunnego odprowadziła, zdawał się uspokojony i pocieszony najzupełniej, a dawny ich stosunek przyjacielski w niczem nie zmieniony.

Lily tymczasem podsłuchująca pod drzwiami, kilka razy o mało się nie zdradziła wybuchem śmiechu pustego. Skoro jednak powóz zaturkotał, uwożąc Freisinga z czwartym koszem z rzędu, a jednocześnie weszła panna Hofer do pokoju, rzuciła się ku niej młoda dzieweczka niesłychanie rozweselona, wołając już z daleka:

— Piątek popisał się i tym razem, z całą swoją feralnością! Wujcio Freising dostał kosza i z nosem na łokieć długim odjechał. I wyobraź pani sobie, ta przyjemność już go po raz czwarty spotyka.

— Wstydź się Lily, znowuś jak widzę podsłuchiwała — panna Emma rzekła tonem ostrej wymówki.

— No, ma się rozumieć! — Lily wyznała z całą naiwnością, nie widząc w tem nic złego, i zaczęła długo i szeroko, w sposób nader komiczny, powtarzać rozmowę z rozmaitemi własnemi komentarzami. Nie wywołała tem jednakże efektu spodziewanego. Panna Hofer czoło niechętnie zmarszczyła, zakazując po prostu młodej panience: „drwin tak niestosownych z człowieka najzacniejszego.“

— Ależ pani go znieść nie możesz — wtrąciła Lily osłupiawszy, zkąd przyszło do głowy pannie Emmie bronić tak zawzięcie adwokata?! — Wujcio bo też na każdym kroku sprzeciwia się pani i droczy!

Panna Hofer zmięszała się na chwilę, wahająca i niepewna co odpowiedzieć. Odezwała się wreszcie tonem pełnym namaszczenia:

— Nie wolno nam i nieprzyjaciołom jawnym źle życzyć, lub się z ich nieszczęścia naśmiewać.

Anna nie wróciła do domu, tylko wprost od bramy poszła przez ogród ku werandzie. Lily zaczęła również szukać jakiegoś okrycia, aby za siostrą pobiegnąć, zanim się jednak zebrała i doszła do drzwi oranżerji, ku wielkiemu jej źdźiwieniu drugi powóz nadjechał, a w nim spostrzegła młodego barona Werdenfels'a. — Dziewczę wiedziało, a raczej odgadło, że ta wizyta tyczy się li jej siostry. Pawła oczy, wtedy na probostwie, zdradziły aż nadto wyraźnie tajemnicę. Mógł przeto nie wymazać zupełnie z pamięci nowej znajomej, z którą tak skrzętnie zbierał orzeszki, i przywitać się z nią bodaj mimochodem. Stanęła zatem, oczekując na to przelotne powitanie.

Paweł niestety nie spostrzegł jej nawet, chociaż otarł się niemal o jej miłą i zgrabniutką figurkę. — Skoro wyskoczył z powozu, wzrokiem ścigał postać wyniosłą, a gdy weszła do oranżerji, pokraśniał cały, oczy mu się rozpromieniły szczęściem nadziemskiem, i dom pominąwszy, pospieszył wprost za panią Hertenstein, uniesiony radością, iż los mu tak sprzyja, i nastręcza sposobność rozmówienia się z Anną w cztery oczy, zaczem tak tęsknił, czego pragnął najgoręciej.

Lily główkę smętnie spuściła; nie miała już wcale ochoty złączyć się z siostrą. Byłaby najwidoczniej niepotrzebną, zbyteczną przy tej rozmowie, skoro ani okiem na nią nie rzucił. — Wsunęła się cichutko poza jeden ze słupów, stanowiących przedsionek oranżerji, zbudowanej stylem greckiej świątyni; tym razem nie myślała podsłuchiwać, co zresztą było niemożliwem w takiej odległości! chciała jednak patrzeć z daleka na tych dwoje, przechadzających się tam i nazad po alei, piaskiem srebrzystym wysypanej, wśród palm wyniosłych i tym podobnych roślin egzotycznych.

Rozmowa przeciągała się w nieskończoność, i zda-

wała się być nastrojoną na ton o wiele poważniejszy i podnioślejszy, niż krótka odprawa niefortunnego mecenasa. Zrazu Paweł rozprawiał z namiętnym zapałem, z ogniem w oku; odpowiedzi krótkie Anny musiały jednak oddziaływać fatalnie, niby tusze zimnej wody na młodzieńcze zapały, gdyż powoli, powoli, głos Pawła stawał się coraz cichszym, oko przygasało w ziemię zapatrzone, póki Anna wyłącznie mówić nie zaczęła. I ona coś długo, długo tłumaczyła, perswadowała łagodnie, ale nie mniej stanowczo, aż wreszcie Paweł całkiem oniemiał, blady i zrozpaczony.

Nastała chwila milczenia. Anna dłoń mu podała, on rękę jej ucałował z czcią najwyższą, wzroku na nią nie podnosząc, i młoda kobieta ku domowi zawróciła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pożyczana mama.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Hrabina oniemiała, na głowę pobita, pytaniem wielce niedyplomatycznem.

— Rzecz straszliwa! — w duchu pomyślała. — Jeżeliby istotnie ta główka szalona zajęła się na serjo panem Skólskim, co powiem stryjowi, jak się zdołam wytłumaczyć przed całem naszem towarzystwem?

— Czy myślisz na prawdę wydać twoją pupilkę Lorciu kochana za profesora Skólskiego? — spytała biedną, udręczoną hrabinę, pani Kunegunda, z miną i w tonie nie dającym się opisać.

— Boże zachowaj mnię od tego! — modliła się po cichu hrabina, głośno wybuchnąwszy śmiechem homerycznym za całą odpowiedź, na groźną interpelacją swojej prześladowczyni.

Działo to się na owym balu dobroczynności, na który hrabina była zmuszoną pojechać. Ida czarująco wyglądała, o pierwszego mazura kilku hrabiów się dobijało, tańczyła go jednak z profesorem, jak i wiele jeszcze innych tańców, na co pani Kunegunda wraz z swoją czwórką *unisono* o pomstę do nieba wołała, ręce załamując z rozpaczy i oburzenia. Hrabina tym razem do końca dosiedziała, ile jednak zniosła ukłuć dotkliwych, przycinków i gorżkich wymówek, nikt by zliczyć nie potrafił!

— Mateuszu — przemówiła nazajutrz zrana przy śniadaniu, do starego, wiernego sługi — dla pana Skólskiego, nigdy mnię w domu nie ma, rozumiesz?

— Rozumiem jaśnie pani — mruknął stary pod nosem, wypatrzywszy się na mówiącą z najwyższem zdziwieniem.

Ida również podniosła na hrabinę swoje cudne oczy szafirowe z wyrazem tak łzawym, z wymówką tak rzewną, choć niemą, iż biedna pani Laura, zmięszana i zawstydzona, tak się dalece zapomniała, że drapiącej ją po nosie suczynie, zamiast cukru w kawie umaczanego, ośmieliła się podać chleb suchy! Faworytka groźnie warknęła, obrażona do żywego i przez dzień cały despektu tego zapomnieć nie chciała.

— Nie ma jaśnie państwa w domu — powtórzył w kilka godzin później Mateusz wchodzącemu profesorowi, jak to miał nakazane, i pan Skólski ku wschodom napowrót zawrócił, z uśmiechem wielce znaczącym i dość sarkastycznym.

— Fe! Jak możesz dziecię tak bez taktu postępować! — oburzyła się hrabina, widząc jak Ida, stojąca w oknie przypadkiem, żegna odchodzącego profesora najsłodszym uśmiechem i kilkakrotnem główką skinieniem.

— Czyż to jest brakiem taktu oddawać ukłon za ukłon dobrym znajomym? — spytała filutka z minką naiwną, jak by trzech zliczyć nie umiała.

— Ale zmiłuj się, stajesz w oknie w chwili właśnie, kiedy Mateusz zapowiedział, że nas nie ma w domu!

— Biedny stary! Zaledwie zdołał to z siebie wykrztusić. Za tę winę i kłamstwo mimowolne, nie będzie z pewnością przed Bogiem odpowiadał!

— Cóż znowu! Któż bo bierze coś zupełnie zwykłego, w sposób tak tragiczny! Każdy człowiek ze sfer wyższych i lepiej wychowany, wie co znaczy formułka: „nie ma państwa w domu!“ Ani w tem winy, a tem mniej kłamstwa nie dopatrzy.

— Z pewnością! — zaśmiała się w głos Ida. — Zrozumie, iż to znaczy mniej więcej: „Jestem w domu, ale nie dla ciebie, bo w oczach moich nie zasługujesz, abym ruszyła się z kanapy lub z fotelu na twoje powitanie“. — Jedna to z owych gorżkich pigułek, podanych w opłatku salonowej ogłady i... obłudy!

— Oh! oh! — żachnęła się hrabina — znowu wpadasz kochanie moje w ton kaznodziejski, krytykujesz za ostro zwyczaje w świecie utarte i przez ogół przyjęte.

— Niech i tak będzie! — Ida ręką machnęła, przysiadając u nóg hrabiny na taburecie i w oczy jej czule się wpatrzywszy. — Proszę mi jednak powiedzieć, dla czegoś pani taki rozkaz wydała Mateuszowi?

— Raz już ci się dziecię tłumaczyłam, iż czynię to z zasady, a nie dla jakiegoś kaprysu lub przesądu.

— O takich zasadach słyszeć nie chcę i jeżeli pani wiecznie będziesz się na nie powoływała, zbieram natychmiast moje manatki i uciekam do stryjaszka na resztę karnawału! Tak, tak, wyjadę niezawodnie! Bądź że łaskawą hrabino i wymień mi grzechy i przywary pana Skólskiego, które cię skłoniły do wyrzucenia go raz na zawsze z twojego salonu? Czy popełnił w życiu jaką nieuczciwość? Czy doszły cię słuchy o jakim czynie brudnym i nieszlachetnym z jego strony?

— Ależ drogie dziecię! Czyż można przypuścić coś

podobnego o człowieku, przyjmowanym w salonach najarystokratyczniejszych i z którym syn mój jest w stosunku ścisłej przyjaźni? O tem przecie mowy nie ma!

— Daruj pani! — dziewczę śmiałe nie dało za wygranę — o tem musi być mowa, bo skoro nic brudnego i nikczemnego zarzucić mu nie można, rozkaz wydany jest wielką i krzyczącą niesprawiedliwością. Pan Skólski, który własną głową i własną pracą dobił się stanowiska zaszczytnego, a nawet sławy, więcej wart w moich oczach, niż owi panicze, z łaski losu ślepego noszący wielkie, historyczne nazwiska, Pigmejczyki, którzy najczęściej nie dorośli do swoich antenatów i niemal upadają pod brzemieniem tamtych sławy. Lepiej mojem zdaniem hrabino, być pierwszym swojego nazwiska, niż ostatnim, który ród swój starożytny grzebie w kale rozpusty i poniża swoją niedołężnością.

— Dziecię! — hrabina porwała się oburącz za głowę. — Skąd u ciebie biorą się takie zdania przewrotne i rewolucyjne?! W ogóle pojąć nie mogę, co cię skłania ujmować się z takim zapałem i tak się niesłychanie interesować człowiekiem, zaledwie ci znanym?!

Tym razem hrabina postąpiła z dyplomacją, której by się sam Talleyrand nieboszczyk nie powstydził. Zamknęła usta wymowne Idy, jak na kłódkę, co bynajmniej łatwem nie było!

— Jak to mądrze zrobiłam, zamykając drzwi moje przed tym nieznośnym profesorem! -- myślała hrabina, gdy pan Skólski, zrozumiawszy doskonale to, przez Mateusza wykrztuszone: „nie ma państwa w domu“, przez kilka dni następnych nie próbował wcale przekraczać progów niegościnnych. — Żeby tylko ten Wacio tak nie kunktował, żeby raz wziął się serjo do Idy! Chwali ją, podziwia zdaleka, a na to patrzy obojętnie, jakby miał na oczach kataraktę, że mu taki *Va-nu-pieds* chce pannę zdmuchnąć z przed nosa! I to jaką partję! Piękna, doskonale urodzona, no!... i bardzo bogata, co nigdy nie szkodzi! Wacio ma dość, to prawda, ale: „od przybytku głowa nie zaboli!“

Dziwna rzecz jednak, iż mimo, że w domu nie bywał, profesor jakimś trafem nadzwyczajnym, niemal codzień gdzieś się zetknął z paniami. To w Sukiennicach, to w *atelier* którego z artystów, to na rannym spacerze, który za wyłącznem stryja zezwoleniem, Ida do ruchu przyzwyczajona, odbywała regularnie, przynajmniej przez dwie godziny, w towarzystwie starej swojej piastunki Basi, bądź na Plantach, bądź w ogrodzie strzeleckim, jeżeli błota wielkiego nie było. Ida, natura na wskroś szczera i otwarta, nigdy nie zataiła przed hrabiną, jeżeli gdzie się przypadkiem zetknęła z panem Skólskim, a mamy przybranej wtedy nie było, pani Kunegunda nie omieszkała zaś korzystać z wydarzonej okazji i na jakiejś wencie na cel dobroczynny, na której Ida sprzedawała bukieciki po cenie rozmaitej, zbierając całe stosy monety, wyrazić się zjadliwie, a dość głośno, aby doszło to do uszu hrabiny:

— Ta kochana, nieoszacowana Lorcia, nabiła głowę sobie, żeby bogatą hrabiankę P. złowić dla syna. Życzę jej z serca, żeby tym razem lepiej jej się swaty powiodły, niż przeszłoroczne łapanie księcia Artura, dla gołej siostrzeniczki! Ida to mądry ptaszek i kokietka jakich mało! Wyrwie jej się z dłoni i frunie daleko, daleko, że ani się poczciwa hrabina nie spostrzeże!

Tu pięć par oczu kierowało się ku stolikowi, przy którym siedziała hrabina Laura z Idą. Pięć par uzbrojonych w pociski śmiertelne zazdrości i nienawiści dla pięknej hrabianki, która posiadała to wszystko, czego brakowało czwórce dobranej pani Kunegundy. Hrabina zaś z pewnem wewnętrznem zadowoleniem pytała się w duchu: — „Czy Ida jest istotnie kokietką?“ — Gdyby tak było, mogłaby przypuścić, że li z kokieterji obdarza profesora najsłodszym uśmiechem, gawędzi z nim godzinami z widocznem zadowoleniem i dla niego zachowuje najpiękniejszą ciemną różę, o którą dobijało się nadaremnie z dziesięciu hrabiczów, dla tego tylko, że nie należała do bukietów na stole leżących, lecz zdobiła ciemne pukle Idy. Ofiarowali za nią sumy bajońskie, a profesorowi oddała ją darmo, skoro takową pochwalił.

— Głowa mi pęka doprawdy, gdy o tem pomyślę, że Ida mogłaby się zająć serjo profesorem! — szepnęła sama do siebie hrabina, cierpiąc męki piekielne pod ogniem krzyżowym ócz złośliwych pani Kunegundy, jej małoletnich córeczek, i innych, równie miłosiernych przyjaciółek. Cóż atoli począć miała? Nie mogła odjechać z Idą przed końcem wenty, nie mogła zakazać profesorowi, żeby razem z drugimi nie stał koło ich stolika i nie kupował fiołków, nie mogła również naprzód przewidzieć, że Ida popełni taką niedorzeczność i da mu różę, o którą nawet nie śmiał prosić.

— Muszę temu jednak kres położyć, niech się co chce dzieje! — pomyślała w duchu hrabina, powziąwszy widocznie jakieś heroiczne postanowienie.

Łatwiej było jednak pomyśleć, niż wykonać. Nosiła się przez dni kilka z tajemnym zamiarem, nie spała, nie jadła, a na nic stanowczego zdecydować się nie mogła.

— Co robić! co robić! — łamała ręce rozpaczliwie podczas nocy bezsennych. — Nie mogę go przecie posady pozbawiać, nie mogę innym zakazać, żeby go w domu swoim nie przyjmowali, nie mogę z Idą zamknąć się w domu, jak w klasztorze na rekolekcjach i nigdzie się nie pokazywać! A jednak tak zostać nie może! Co by stryj Idy, co by świat cały powiedział! Ha! pomówię z nim osobiście. Jeżeli jest istotnie tak szlachetnym, jak Ida utrzymuje, zrozumie moje skrupuły i usunie się dobrowolnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(Dokończenie.)

XII.

Zmrok padał, dzień pod wieczór stał się mglistym i ponurym, wiatr zimny do szpiku i kości przenikał, gdy Erminja w towarzystwie hrabiego de Bocé Stevèville opuszczała.

Wionęły zatem bezpowrotnie wszystkie jej nadzieje! Zdawało jej się, iż każde koła obrócenie, serce jej ściera na miazgę. Nie śmiała wychylić głowy z powozu, aby spojrzeć raz ostatni na zamek, do którego wchodziła z tryumfem, a wyszła dzisiaj niepocieszona. Ah! gdyby mogła była zostawić w nim pamięć chwil przeżytych i sny ułudne, które jej duszę tak słodko mamiły! Ale odjeżdżać z sercem na wieki złamanem odczuwać całą czczość życia, które ją nadal czeka, przyszłości samotnej i bezcelowej, młodości zmarnowanej, ale przechodzić nagle z blasku olśniewającego do ciemności ponurych, przywoływać całą siłą zapomnienie, tę zimną grobu pociechę, zamiast używać w pełni wymarzonych szczęścia i miłości roskoszy, to było więcej niż mogła znieść i najdzielniejsza odwaga!

Głos towarzysza podróży wyrwał ją z bolesnej zadumy; zapomniała na wieki, że jest ktoś przy niej i drgnęła nerwowo.

— Gdybyśmy się tak napowrót wrócili droga lady? Znikłby smutek z tego czoła pięknego... iluminowanoby zamek cały z wielkiej radości na nasze przyjęcie...

— Nie! nie! — jęknęła tak boleśnie, iż umilkła przerażona, czy nie zdradza się z bolem, pierś rozrywającym.

Potem dodała, zmuszając się do uśmiechu:

— Jestem istotnie nieznośną! A chciałabym zostawić ci hrabio inne wspomnienie o mojej swobodzie i wesołości.

— Wesołość?!... zabierasz ją całą dziecię drogie!...

Mimo najlepszych chęci wzajemnych, podróż odbyła się nader smutno dla obojga. Hrabia wprowadził Erminję na statek i nie odstąpił do chwili ostatniej. Na pożegnanie podała mu jak ojcu czoło do pocałowania, i nim się spostrzegł, rękę jego do ust serdecznie przycisnęła, zostawiając na niej ślad dwóch łez gorżkich i palących. Starzec w głos się rozszlochał, i długo, długo, stał jeszcze na brzegu, jakby wrósł w ziemię, choć dawno już zniknął mu z oczu parowiec, tonąc w mgle wieczornej.

Przestrzeń to nie lada między Stèveville a Alpino! Przez całą tak daleką drogę, nie opuszczały Erminji ani na chwilę myśli smętne i ponure. Weszła wreszcie w próg swojego pałacu cudownego, a stary Barini o mało nie oszalał z radości! Jego królowa! bóstwo! istota jedyna, którą czcił bałwochwalczo, podziwiał jako ósmy cud świata, a kochał, jak nikt nikogo na ziemi nie ukochał, powróciła nareszcie! Dotykał się w szale bezprzytomnym jej rąk, odzienia, włosów miękkich jak jedwab, pieścił się z nią jak dziadek z wnuczką najulubieńszą!

— O! ty! ty jeden mnie kochasz! — jęknęła biedaczka, wracając pod dach rodzinny ze śmiercią w duszy.

Rozpłakała się, ale łzy te pewną ulgę jej przyniosły.

— Pozwól mi się wypłakać do woli! — prosiła. — Czasem i łez nam potrzeba.

Przez dni tyle nawet płakać nie śmiała, w obec obcych, obojętnych. Zamknięta w wagonie ze smutkiem, który ją dławił, wyglądała teraz, jak więzień z kaźni ciemnej na wolność wypuszczony. Wszystko tutaj otaczało ją urokiem tajemniczym, było jakby pocałunkiem powitalnym promiennej, złotej przeszłości... Myśl Erminji oderwała się więc od wspomnień bolesnych, uradowała ją najprzód twarz starca poczciwego, który na cej widok od zmysłów odchodził. Oglądnęła się następnie po pałacu. Wszystko ją tu na nowo zachwycało: bogactwa przez dziadka nagromadzone, w dziełach sztuki i w innych cackach rozmaitych. Upajała się widokiem nieba włoskiego, bez chmurki, niby olbrzymia kopuła z szafiru, upajała ją woń kwiatów odurzająca, i pytała w końcu sama siebie: Jak też mogła wytrzymać tak długo w Anglji mglistej i ponurej? Jak mogła żyć bez tego słońca promienistego, tej bujnej, cudownej roślinności, bez tych rysów kochanych, tak słodko się do niej uśmiechających, starego, poczciwego Bariniego, bez tych wszystkich piękności i czułości, które ją tu w miejscu rodzinnem otaczają? Przywitała serdecznie starych domowników, pogłaskała swoje charty i wierzchowca ulubionego, który zarżał z radości na jej powitanie, wreszcie pociągnęła starca do fortepianu i spiewać zaczęła. Jak orzeł z klatki po długiej niewoli wypuszczony, bije skrzydłem potężnem aż pod same niebios sklepienia, tak wzniósł się głos Erminji majestatyczny i niezrównany! Nie mogła dość nacieszyć się tym skarbem zaniedbanym dla niewdzięcznika, igrała z nim jak dziecię z cackiem przepięknem, i znalazła go nietkniętym: Był jak dawniej czystym, giętkim, perlistym.

— O, gdyby był tu niegodziwiec! — pomyślała — spiew mój pomściłby najlepiej zniewagę mnie wyrządzoną! Ale nie, nie! Nie chcę, żeby mnie słyszał kiedykolwiek!

— Jeszcze! jeszcze! — wołał Barini, nienasycony tonami czarownymi, których był tak długo pozbawiony. — Jesteś zawsze cudem cudów!

Nagle urwała, wybuchając rzewnym płaczem... Starzec powtarzał: „jeszcze, jeszcze!“ ale Erminja fortepian zatrzasnęła, mówiąc stanowczo:

— W życiu już więcej spiewać nie będę!

— Chciałbym to widzieć! — wykrzyknął starzec zgorszony. — Cóż ci znowu za kaprys strzelił do główki? Dowiedz się, że niebo nie na darmo zsyła na nas dar swój najwyższy, iskrę geniuszu nieśmiertelną! Nie na to, żeby ją zgasić gwałtownie! To by się nazywało, chcieć Boga samego obrazić!... Czyś zapomniała, że je-

steś *L'Ombrą*, wielką i nieśmiertelną *L'Ombrą*?!

— Nie wymawiaj nigdy przedemną tego imienia fatalnego! Ono mi nieszczęście tylko przyniosło!...

Barini wzniósł ręce do góry, jakby wołał o pomstę do Boga!

— Ah! ah! więc wielcy panowie angielscy, śmieli dumą swoją i arogancją upokorzyć królowę spiewu?!... Musiałaś się zapomnieć... zaspiewałaś... i poznali ciebie! Głupcy! purchawki nadęte! Czyż oni tego nie rozumieją, że jeżeli pięknie jest urodzić się księżniczką Sanseverone, jeszcze chwalebniej zostać z łaski nie przypadku, lecz własnego talentu, wielką *L'Ombrą*?!

— Nie spiewałam tam nikomu, i nie z tego powodu tyle wycierpiałam.

Starzec zadumał się, spojrzał jej w oczy, a po chwili spytał cicho, na serce wskazując:

— Czy tu cię boli dziecię drogie?

Smutek podzielony mniej cięży. Erminja opowiedziała zatem w szczegółach najdrobniejszych ów bolesny dramat domowy, zaczęty w Medjolanie, a zakończony tak niefortunnie w Stèveville. Stary tenor, prostaczek poczciwy, którego jedynie kochankami były melodyjne *Cavatiny*, nie znał prawie miłości, nie rozumiał tej hisorji o mglistym kolorycie, pełnej skrupułów delikatnych, odcieni dla oka profana nie dostrzeżonych, pełnej trwogi, niepewności i zazdrości, o własne „Ja". Doświadczał uczucia dziecięcia, któreby się zabłąkało w kraju obcym, języka tegoż nie posiadając; daremnie uwagę wytężał, aby jednego ze słów Erminji nie utracić; nie mógł pojąć, dlaczego nie przecięła węzła gordyjskiego, dlaczego, skoro książe dotąd nie może *L'Ombry* zapomnieć, nie zaśpiewała mu po prostu, żeby się dać poznać? Gdy mu atoli wyłożyła, że to wyznanie mogłoby na wieki zniszczyć cześć i dobrą sławę lady Stève, że świat arystokratyczny nigdy by jej nieprzebaczył, że śmiała wystąpić publicznie na deskach teatralnych, starzec osłupiał; on więc skompromitował córkę swojego dobroczyńcy, on okopcił światłem zwodniczem lamp teatralnych tarczę herbową Sanseverone'ów, on zezwolił, żeby podli *Histironi* ocierali się o dziewiczą postać księżniczki, on sam ją namówił, żeby swoją jasną, liljową jak jej dusza twarzyczkę, skryła pod maską obłudną różu i czernidła. Bijąc się w piersi, jakby popełnił grzech śmiertelny, tenor nieszczęśliwy nazywał sam siebie zdrajcą i łotrem najnikczemniejszym. Tak wyglądał zabawnie, krzywiąc się najdziwaczniej, miotany dziką rozpaczą, że Erminja nagle śmiechem wybuchnęła wesołym, iście dziecinnym, jakim się już od dawna śmiać oduczyła. W dobroci anielskiej sama starca uspokajała:

— Nie martw się tak bardzo, już mi lżej na sercu odkąd oddycham rodzinnem powietrzem.

W istocie, tożycie samotne, po przejściach tak burzliwych, wpłynęło zrazu korzystnie na jej system nerwowy i prawie całkiem ból serca ukołysało. Błądziła po szpalerach cienistych, pośród kwiatów, woń cudowną wkoło rozlewających, przeglądała sztuki arcydzieła, odczytywała książki, które niegdyś razem z dziadkiem wertowała. Siadała z rzewnem uczuciem w głębokie, ciężkie fotele, z których tyle razy obaj dziaduniowie wyciągali do niej ramiona z miłością niewymowną, a tak samolubną. Wieczór, gdy stała na terasie pałacowej, wietrzyk od morza chłodził jej czoło i spędzał z niego myśli ponure. Nawet gwiazdy zdawały się mrugać do niej oczkami promienistemi, niby dawne, serdeczne przyjaciółki. Wtedy nie pojmowała sama zaślepienia i uporu w miłości pełnej zawodów, goryczy i zmiennych kaprysów! Jakże mogła ścigać tak długo błędny ognik i widzieć w nim płomień uczucia prawdziwego! Zgasła iskierka kapryśna, pogrążając ją w ciemność i tęsknotę bez końca... Były chwile, iż czuła się uwolnioną od ciężaru duszę jej tłoczącego, pogardzała zmiennemi ludzkiemi uczuciami, chciała bujać jak ptak i upajać się wolnością niczem nie krępowaną, chciała zapomnieć, iż kiedyś w jej łonie biło serce żywo i gorąco.

Wiele czytała, harcowała na koniu godzinami całemi, zanurzała się z roskoszą w toń przejrzystą rzeki o modrych falach, które szmerem cichym, zmysły łechcącym, tak do siebie wabiły, wieczorami zaś muzykowała ze swoim mistrzem ukochanym. Jednak bezwiednie dumała nieraz długo, długo na zamkowej terasie, posyłając wzrok tęskniący w dal siną, to płonącą purpurą i złotem od promieni słońca zapadającego, to szarzejącą i niknącą w pomroku wieczornym... Nieraz sparta o wyzłacaną balustradę, otoczona ciszą uroczystą natury do snu się układającej, czuła się tak osamotnioną, iż nagle rzewnym płaczem wybuchała.

Skoro znalazła się w Alpino, nieomieszkała donieść o tem księżnie Whitefield; nie długo czekała na odpowiedź, pełną czułości i tęsknoty. Korespondencja nie ustawała nawzajem, a list trzeci księżny o mało nie wywrócił z gruntu mądrych postanowień i chęci pozostania nadal lodowato obojętną, które powzięła lady Stève. Oto co w sobie zawierał:

„Willjam żyje jak prawdziwy odludek! Przebąkuje znowu o jechaniu w świat szeroki. Któż temu winien? Ty moja najmilsza, któraś potrafiła jedynie ugłaskać cokolwiek „dzikiego człowieka", któraś była jasnem słoneczkiem, zatrzymującem go w Anglji mglistej i ponurej. Wracaj więc jak najprędzej, jeżeli niechcesz osierocić mnie zupełnie na stare lata!"

Hr. de Bocé dodał tych słów kilka w przypisku:

„Giniemy tu z tęsknoty za tobą lady najdroższa! Ani pogadanki, ani muzyki, ani cienia najlżejszej wesołości! Włoszki stanowczo są fatalne dla mojego biednego, młodego przyjaciela. Brunetki czy blondynki, zawracają tylko głowę i rozumu pozbawiają, tak młodych jak i starych. Jeżeli w sercu twojem lady kochana, tli bodaj słaba iskierka miłosierdzia, wrócisz niebawem, abyśmy nie padli ofiarą dzikiej rozpaczy!"

Biedna kobieta! Łudziła się nadzieją zwodniczą, iż potrafi serce wyleczyć z miłości nieszczęśliwej, a jednak pożerała oczami tych kilka wierszy, zapewniają-

cych, że dotąd kochać jej nie przestał! Im więcej starała się pozbyć myśli o Willjamie, tem tłumniej i z większą natarczywością nagabywały jej pamięć, serce na nowo raniąc boleśnie. Po całych dniach, a nawet nocach bezsennie pędzonych, dumała nad tem wszystkiem, co zaszło pomiędzy nimi, przypominała sobie żywo każde słówko zamienione, szczegóły najdrobniejsze tych chwil roskosznych i upajających, które pod jednym dachem z nim pędziła. Nie, nie, hrabia myli się najzupełniej! Willjam jej nie kocha... nie kochał nigdy! Czyż jej nie porzucił, schadzkę wyznaczywszy, aby gonić za *L'Ombrą* zwodniczą?!...

To nieszczęsne zastanawianie się nad miłością dziwnej natury, wpłynęło najfatalniej na biedną, młodą istotę. Straciła sen i apetyt, zapadła w stan letargiczny jakiejś nieczułości, jakiegoś zobojętnienia dla wszech rzeczy, więdła i bladła z dnia na dzień, jak kwiat pozbawiony światła i powietrza.

— Twój smutek będzie gwoździem do mej trumny! — powtarzał łamiąc ręce, Barini zrozpaczony. — Czyż wart łez twoich, ten jakiś Anglik zimny i jak głaz nieczuły?! Czy w ogóle wart jaki na świecie mężczyzna twojej miłości?! Wszak widziałaś u stóp twoich dwór cały, najwyższych dygnitarzy, najpierwsze osobistości! Chyba w tem są czary jakie bezbożne? To też nie jedną już świecę z wosku czystego ofiarowałem, aby *Madonna Santissima*, raczyła zdjąć z ciebie niebezpieczną *Gettaturę*. Posłuchaj dziecię, ty nie możesz żyć samotna z takim jak ja prostaczkiem i nieukiem. To było wcale co innego za życia księcia i lorda Stève; wtedy umysł twój bystry miał się z kim dzielić myślami... Jedźmy gdziekolwiek zapragniesz. Mimo wieku sędziwego czuję się na siłach, dla twojej rozrywki i uspokojenia, oblecieć choćby świat cały!

Starzec błagał tak usilnie, iż wreszcie wymógł na Erminji, obojętnej zresztą na wszelką zmianę, że przeniosą się do Neapolu. Wynajął zatem pałac obszerny, z widokiem na zatokę lazurową i w rzeczy samej przez dni kilka cieszył się biedak, większem w usposobieniu Erminji ożywieniem. Zdawał się ją cieszyć widok morza, bawiły krzyki wesołe pospólstwa i dzieciaków na pół nagich, muszelki z piasku wygrzebujących nad brzegiem. Dziękowała z razu staremu przyjacielowi, że ją namówił do przesiedlenia się, wkrótce jednak zapadła w dawną apatję, tak nienaturalną i niebezpieczną w młodym wieku, nie chciała zwidzać miasta osobliwości, dnie całe trawiła w kościele, dumając i płacząc rzewnie.

Dnia pewnego wróciła do domu wzburzona, w takim rozstroju nerwowym, iż Barini przeraził się najokropniej. Chciał właśnie spytać ją o przyczynę, gdy Erminja porwała go za rękę gorączkowo, a pociągnąwszy za sobą na balkon, wykrzyknęła:

— Patrz tam, na lewo!

Olbrzymi afisz żółty, bił w oczy na rogu przeciwległej kamienicy. Zapowiadał on niezwykły *Festival*, który najznakomitsi muzycy i śpiewacy włoscy zamyślają urządzić na cześć nieśmiertelnego maestra V. aby podłożyć fundament pod składki zebrać się mające, na wystawienie mu pomnika jeszcze za życia, w Parmie, mieście jego rodzinnem.

— Ah! rozumiem! — Barini zatarł ręce uszczęśliwiony. — Chcesz być przytomną tej uroczystości!... Lecę za jaką bądź cenę lożę zdobyć!

— Nie! nie!... życzę sobie wcale czego innego! — wstrzymała starca w zapędzie. — Chcę, żeby *L'Ombra* spiewała w tym koncercie.

— To być w żaden sposób nie może! — Barini stanowczo zaprotestował. — Wiem, że by cię przyjęto z okrzykiem najwyższej radości, ale tego nie uczynię więcej i nie pójdę do dyrektora!

— W takim razie ja idę sama! — Erminja ku drzwiom się zwróciła.

Starzec za rękę ją schwycił.

— Chcesz więc pomnożyć jeszcze moją winę? Nie powiedziała-żeś mi sama, iż byłabyś zgubioną, gdyby to się odkryło?... Pomyśl o twojej czci, o twojem stanowisku!.... i tak już szczęście twoje skompromitowałem!...

— Nie ma więcej szczęścia dla mnie na ziemi! — wybuchnęła Erminja z dziką gwałtownością. — Chcę się przekonać, czy ten, który nie raczył potrudzić się dla lady Stève, przyleci *L'Ombrę* usłyszeć!

— Na rany Boskie! Tyś całkiem rozum straciła! Wiecznie ta zazdrość szalona dla samej siebie! Ależ to coś niepojętego! iście sztuczka złego ducha, który cię opętał! Nie byłoż by o wiele stosowniej, przyzwoiciej, sprowadzić Anglika do Alpino i tam zaśpiewać mu w dzień biały, bez żadnej maski i niepotrzebnego udawania?

— Nie rozumiesz więc — zaśmiała się gorżko — że chcę się pomścić zniewagi mnie wyrządzonej? że pragnę namiętnie, aby wycierpiał te same katusze, które ja z jego łaski doświadczyłam?!

— I za cóż się mścisz na tym biedaku? Że nie potrafił zapomnieć o twoim głosie cudownym? Że wyżej ocenił twój talent niezrównany, niż wszystkie inne dary, piękności, urodzenia, któremi natura i po za tym talentem hojnie cię obsypała?

Lady Stève nie zdawała się go słyszeć zupełnie; zgnębiona, złamana, upadła na kanapę z twarzą w dłoniach ukrytą i w głos się rozszlochała. Jej łkania głuche, serce starca biednego rozdzierały. Chodził wszerz i wzdłuż salonu, aby pokonać opanowujące go rozrzewnienie, czuł jednak za każdym krokiem, iż słabnie w powziętym zamiarze, że za chwilę musi rad nie rad kapitulować i uczynić zadość woli Erminji.

— *Regina mia*! Aniołku najcudowniejszy! — wołał łzami również zalany. — Przestań tak lamentować, bo mi serce z żalu pęknie! A nużby cię *cara mia* poznał ten lord mimo maski i przebrania? Potrząsasz głową, iż cię to nic nie obchodzi... może pragniesz tego?... Nie?... A więc chcesz nowych tryumfów, czy tak?... I temu przeczysz? Niechże Bóg nas ma w swojej opiece! ale

widok łez twoich i rozpaczy, resztę zmysłów mi odbiera!... Płaczesz dalej?!... Eh! bierz djabli wszelką przezorność! Spiewaj!... tak, spiewaj moje cudo, jeżeli to ma ci w czem ulżyć!... I ja będę szczęśliwy, patrzeć jeszcze raz przed śmiercią, jak przy tobie palma zwycięztwa zostanie!...

Porwał za kapelusz, wyrzucił go w górę, i jak warjat wyleciał na ulicę.

Nazajutrz nowe plakaty zapowiadały *Urbi et Orbi* występ *L'Ombry* nieśmiertelnej. Imię jej świeciło z daleka literami łokciowemi. Dzienniki rozniosły tę wiadomość po całym świecie; dostała się ona, ma się rozumieć i do zamku w Stevèville.

Od tej chwili Erminja wyczekiwała gorączkowo, czy przyjedzie Willjam. Oczekiwanie, jakkolwiek bolesne, bieg krwi przyspieszało; czuła na nowo serca bicie; niepokój ten wyrywał ją ze szpon apatji i nudów zabijających. *Dominico*, poczciwy, wierny sługa, który jej nigdy nie odstępował, miał nakazane śledzić niepostrzeżenie pociągi kolejowe i parowce, czy na którym z nich Willjama nie ujrzy.

Nareszcie na dzień przed koncertem wysiadł Willjam na peronie i odjechał prosto do pałacu poselstwa angielskiego.

Erminja od tej chwili zamknęła się szczelnie u siebie. Byłaż szczęśliwą czy zrozpaczoną? Sama właściwie nie wiedziała. Myśl, że Willjam jest tuż przy niej, przejmowała ją dreszczem nerwowym i serce jej niemal bić ustawało. „Trochę dalej z Stèveville do Neapolu, niż z zamku do pawilonu w lasku świerkowym nad wodą!“ powtarzała sobie w duchu. Bądź jak bądź tryumfowała, że go potrafiła ściągnąć tak z daleka, nadzieją usłyszenia raz jeszcze *L'Ombry* niezapomnianej. Pomści zniewagę lady Stève wyrządzoną, będzie go znowu widziała u nóg swoich oczarowanego, upojonego, zakochanego więcej niż kiedykolwiek, a wtedy odtrąci jego miłość, jak on jej sercem pogardził i złamał bez litości!

Wybiła wreszcie godzina, w której koncert miał się rozpocząć. *L'Ombra* czarnowłosa udała się do *San-Carlo* w zamkniętej karecie. Salę za pomocą podniesionej posadzki ze sceną zrównano, rząd kinkiet zniknął zupełnie, orkiestra zajęła prawie sam środek sali, zostawiając po obu bokach miejsce przestronne dla publiczności. Wcześnie wszedłszy, Erminja wybrała sobie kącik najustronniejszy i najciemniejszy, i jeszcze przed sobą Bariniego osadziła, aby lepiej się ukryć. Z pod wachlarza rzucała w okół okiem niespokojnem, szukając po sali Willjama. Wszędzie było pełno, jak nasiał, loże połyskiwały blaskiem djamentów i innych drogich kamieni, dotąd atoli w tłumie różnobarwnym nie mogła dopatrzeć oczekiwanego. Naprzeciw niej była dotąd jedna loża całkiem pusta;... otwierają się drzwi i do niej wchodzi nareszcie lady Lundworth i poseł angielski lord Lundworth z księciem Whitefield pod ramię. Serce jej bić przestało; myślała, że już tchu w pierś ścieśnioną złapać nie potrafi. Tak, to on. Widzi go niby we śnie, daleko, daleko!... chociaż zaledwie kroków kilka ich dzieli. Sama sobie wydała się w tej chwili upiorem, który z grobu ucieka, aby wrócić pomiędzy żyjących. Ileż razy majaczył obraz jego przed oczyma jej duszy! Ileż łez wylała na myśl, że go więcej nie zobaczy! A teraz jest tu, obok niej prawie, zgubionej w tłumie. Zapomniała odurzona gdzie się znajduje, po co płoną te świateł miljony, dla czego zebrał się wraz z nią tłum tak świątecznie wystrojony... Uwertura pomogła jej odzyskać przytomność. Przelękła się fałszywej sytuacji, w której się znajduje, tej maski, która ukrywa oblicze lady Stève, całej odpowiedzialności za ten nowy krok nierozważny. Dawniej była dziewczynką niedoświadczoną, dziś atoli wie co myślą o podobnych wybrykach sfery arystokratyczne, a jednak temu światu, do którego należy urodzeniem, rzuca zuchwale rękawicę w oczy, choćby ją mieli za to na wieki potępić!

— Co mi tam! — machnęła ręką pogardliwie. — Nie dla lady Stève, tylko dla śpiewaczki, aż tu przyjechał! Może byłby się z pierwszą ożenił, ale kocha prawdziwie tylko *L'Ombrę*.

Rzuciła na Willjama wzrokiem gniewnym i wyzywającym. I on widocznie szukał jej po sali, bo wychylił się z loży półciałem, przykładając do ócz szkła teatralne. W pełnem świetle kandelabra gazowego, wydał się jej bardzo schudzonym i mizernym.

— Baczność! — szepnął jej Barini.

Po kilku wykonanych artystycznie arcydziełach, które nie zwróciły wcale uwagi Erminji, w myślach bolesnych zatopionej, nadchodził istotnie jej numer. Drgnęła jak dzielny rumak na odgłos surmy bojowej i podniosła się z siedzenia. Przygrywka do wielkiej arji z „Nieszporów sycylijskich“, wykonana przez trzysta dobranych instrumentów, zlewających tony różnorodne w jeden akord harmonijny, mogła dodać bodźca nawet nie takiej artystce całą duszą, jaką była Erminja. Szmer pochlebny przebiegł po sali niby iskra elektryczna. Instynktowo spojrzała w stronę Willjama, jakby z nim chciała tryumf podzielić. Krokiem wolnym *L'Ombra* ubrana ze smakiem wytwornym, z białą kamelją w kruczych włosach, zbliża się ku orkiestrze. Spostrzegł ją Willjam, twarz mu się rozpromienia, skłania przed nią głowę w pokorze jak przed królową, uszczęśliwiony, że i jej wzrok zdaje się go poznawać. Następnie już od niej na chwilę oczu nie odrywa, oczu płomienistych, pożerających niejako jej postać nadobną.

Cisza uroczysta salę zalega... krótka pauza i głos *L'Ombry* cudowny płynie falą niewstrzymaną, przenika do głębi serca słuchających. Skończyła... Cała publiczność powstaje, entuzjazm w szał przechodzi, nie ma końca owacjom i krzykom: „Niech żyje *L'Ombra*! cześć *L'Ombrze* nieśmiertelnej, niezrównanej, boskiej!“ — I znowu wzrok jej spotyka to spojrzenie pełne miłości, które tak jej serce rozpłomieniło, tak fatalnie

wpłynęło na jej życie, tyle ją łez i bolu kosztowało.

Orkiestra intonuje na szczęście inny kawałek i *L'Ombra* uwolniona wreszcie od męczących ją dowodów admiracji niepowściągliwej, wymyka się zręcznie, aby znowu dumać w swoim kąciku ustronnym, przez niczyje oko nie dostrzeżona.

Nie tyle ją zdenerwowały i osłabiły grzmiące całej sali oklaski i entuzjazm szalony, ile ta jedna para oczu zapatrzona w nią tak namiętnie, tak pochłaniająco. Schowana za Bariniego pyta się w duchu, w jakim celu to właściwie uczyniła?... Przygnieciona swoim tryumfem, smutniejsza niż kiedykolwiek, jak gdyby wysnuła z piersi swój śpiew ostatni, łabędzi, spostrzega nagle księcia w drzwiach zakulisowych, o krok od jej krzesła; pierwszą jej myślą jest, ratować się ucieczką, ale widzi niestety, że już na to zapóźno!

— *Signora*! — przemawia do niej Willjam zmięszany i rozgorączkowany. — Przebacz mej zbytniej może śmiałości, iż narzucam ci się, nie mając zaszczytu być tobie oficjalnie przedstawionym. Trwoga, abyś znowu jak cień prawdziwy, z oczu mi nie zniknęła, zmusza mnie do przekroczenia tym razem praw etykiety i korzystam z nadarzonej sposobności, aby zbliżyć się do ciebie.

Erminja zasłoniwszy twarz wachlarzem, skłania lekko głowę w milczeniu. Książe mówi dalej:

— Nie wiem, czy zbytnio sobie nie pochlebiam, przypuszczając, iż raczyłaś *Signora* zapamiętać spektatora pilnie uczęszczającego na każdy twój występ w Medjolanie i w Wiedniu? Szukał on cię miesiącami w całej Austrji, przetrząsł cały półwysep włoski, aby tylko mógł wyprosić chwilkę posłuchania... nie znalazł cię nigdzie! Oto wymówka jedyna mojej dzisiejszej zuchwałej napaści...

O ile możności organ mowy zmieniając, zagłuszona zresztą hałasem w sali i dźwiękiem instrumentów, Erminja spytała zimno, czego właściwie żąda?

— Abyś *Signora* pozwoliła złożyć u stóp twoich wyrazy mojego zachwytu i czci głębokiej...

— Zachwytu... przypuszczam zresztą... Ale jakże *Signor* możesz czcić osobę, której wcale nie znasz?!

— Znam cię *Signora*! znam doskonale! Wszystko w tobie zdradza duszę czystą i szlachetną... Istotę godną czci, godną miłości najgłębszej i najszczerszej.

Książe naglony krótkością chwil, któremi rozporządzał, nie rozważał słów wymawianych w namiętnem uniesieniu.

— Racz *Signor* darować! — przerwała mu artystka. — Jeżelibym miała wziąć na serjo to, co powiedziałeś, musiałabym chyba uważać słowa twoje jako wyznanie miłości...

— Ubóstwiam cię pani! kocham nad życie! — wybuchnął książe z zapałem.

— Pomyśl signor — z dumą głowę podniosła — że albo mnie krwawo znieważasz, lub też bierzesz na siebie zobowiązanie...

— Zobowiązanie uroczyste signora! — Jeżeli tylko twoje serce jest wolne, możesz na śmiało podać dłoń twoją na życie całe człowiekowi uczciwemu.

Odsunęła się od niego, odtrącając niemal z pogardą rękę, którą do niej wyciągał. Przypomniał jej się ów bal w Stèveville, kiedy nad krzesłem jej pochylony, szeptał słowa miłości, prosząc o *rendez-vous*... Przypomniały jej się godziny oczekiwania, zniewaga lady Stève wyrządzona, wszystkie łzy wylane, zawody i cierpienia!...

— Błagam, zaklinam cię signora! Daj mi odpowiedź jakąkolwiek. Jestem księciem Whitefield... Ten cały czas żyłem twojem tylko wspomnieniem. Ja to ośmieliłem się pisać do ciebie w Wiedniu jeszcze, ofiarując ci moją rękę, nazwisko i życie całe!...

— Przestań milordzie—*L'Ombra* przerwała mu tonem ostrym i rozkazującym — nie tu miejsce do zwierzeń podobnych. Przyjdź jutro do pałacu *Marini*, a ktoś wiarogodny powie ci kim jestem.

Powstała z powagą królowej, która kończy posłuchanie.

— O dziewiątej wieczór będziesz milordzie oczekiwanym.

Skinęła mu ręką na pożegnanie, i wyszła drzwiami bocznemi, sama jedna, nakazując Willjamowi giestem surowym, żeby został na miejscu.

— Ach zdrajco! — szeptała głucho, w najwyższym stopniu oburzona — na wskroś cię teraz przeniknęłam! Twoje żądze podsyca jedynie blask kinkiet, huczne oklaski i woń kadzideł, wśród których, gdy ujrzysz niby w chmurze bóstwo twoje, padasz przed niem na kolana, i radbyś dla siebie wyłącznie zatrzymać! Nie wystarcza ci kobieta wierna, kochająca; pożądasz artystki przez tłum uwielbianej!... Dobrze ci tak nikczemniku!... To jedna i ta sama, której wyparłeś się dwa razy, zdradzając *L'Ombrę* dla lady Stève, a lady Stéve dla *L'Ombry*.

Nie wzięła zarzutki z garderoby teatralnej, nie czekała na powóz własny, wskoczyła do pierwszej lepszej karetki do wynajęcia, i kazała zawieźć się do pałacu. Weszła do swojej sypialni ponura i boleśnie zamyślona, czemprędzej zrzuciła czarne warkocze, zmyła z twarzy maskę obłudną i zobaczyła rysy własne, powleczone bladością śmiertelną, zmienione bolem do niepoznania.

Nazajutrz słońce odbijało się w całym blasku w zatoce lazurowej, złocąc w karpią łuskę jej powierzchnię lekko pomarszczoną. Dzień był tak jasny, tak cudownie promienny, jakby zaświtał li tylko dla szczęśliwych. Statki, barki rozmaite, kołysały się na modrem wody źwierciedle, *barcaruoli* śpiewali roskosznie, dzieci gromada przewracała się na piasku gorącym i co chwila śmiechem srebrzystym wybuchała; nic się tu nie zmieniło, całe otoczenie wrzało ruchem i życiem, mimo iż jedna biedna kobieta, otworzyła dziś oczy zamglone, po krótkim śnie gorączkowym, który nad ranem dopiero skleił spuchnięte od płaczu powieki,

i patrzyła w dal wzrokiem błędnym, z sercem zbolałem, złamanem!

Podczas śniadania nie zdradziła się ani jednem słowem przed starym Barinim, któremu nagle lat czterdzieści ubyło z wielkiej radości, nad ponownemi tryumfami *L'Ombry*. Nie ustawał ani na chwilę w swojej gadatliwości, w swojem niezwykłem ożywieniu.

— Byłaś wzniosłą, niezrównaną! byłaś jednem słowem *L'Ombrą* nieśmiertelną! — wołał z ogniem młodzieńczym. — To też ludzie na dobre poszaleli!... Wołano, tupano, chcąc ciebie koniecznie jeszcze raz zobaczyć, sam biegałem po sali jak opętany, żeby cię odszukać — nadaremnie!... Jakżeś mogła nawet mnie się tak z pod rąk wyśliznąć?... Powiadam ci dziecię, że wielkim i chwalebnym jest ród książąt Sanseverene'ów, ale sława *L'Ombry* więcej warta, niż całe stulecia wielkości przodków twoich!

Zaraz po śniadaniu wyleciał na ulicę, do miasta, aby upajać się pochwałami, entuzjazmem, przez *L'Ombrę* wywołanym. Wrócił dopiero wieczorem poczciwy starowina.

Tak więc Erminja uwolniona od pytań nużących i niecierpliwiących, mogła wszystko przygotować na przyjęcie gościa, który miał się stawić o godzinie dziesiątej. Ozdabiamy zwykle katafalki i groby drogich nam zmarłych, to też i lady Stéve, kazawszy pałac cały napełnić zielenią i kwiatami, sama przywdziała również strój godowy. W złotych puklach tkwiły kamelje białe i krople brylantowe, suknię z blado-różowego atłasu przykrywała sieć pajęcza białych, brukselskich koronek, perły i brylanty okrywały jej piersi, ramiona, ręce, i nawet jako spinki kosztowne, gdzieniegdzie bukieciki z białych kamelij przytrzymywały na spięciach suknię. Czekała z okiem pałającem, z tętnami gorączkowo bijącemi, w niepokoju najwyższym.

— Czy dajesz bal dzisiaj? — spytał wchodząc Barini, osłupiawszy na widok tej wspaniałej toalety i pałacu, pełnego woni kwiatów, à *giorno* iluminowanego.

— Mam się z kimś pożegnać, błagam cię więc usilnie, o nic mnię nie pytaj, nie odchodź na krok odemnie i zachowaj milczenie grobowe przez cały wieczór, choćbyś się i najbardziej zdziwił tem co zobaczysz i usłyszysz.

— Nie wiem dla czego, ale wśród tej całej parady lęk mnię bierze — wtrącił Barini. — Wyglądasz mi jak Norma, gdy idzie z nożem dzieci swoje zabijać!

Ledwie tych słów domówił, na zegarze miejskim dziewiąta bić zaczęła, a na progu salonu ukazał się gość oczekiwany. Erminja pospieszyła naprzeciw, Willjam atoli stanął we drzwiach jak wryty i krzyknął nie mogąc ukryć zdziwienia niemiłego:

— Lady Stéve!

— To ja milordzie, lecz dla czegoż tak się dziwisz?... Byłam pewną, żeś dla mnie tylko do Włoch przyjechał... przecież winieneś mi wizytę, którą oddałam księżnie w Londynie i w Stéveville.

— Przebacz milady... chciałem istotnie pospieszyć do Alpino... ale tego wieczora... nie wiedziałem... myślałem...

— Kogo żeś się zastać spodziewał kuzynku? Jakże jesteś pomięszany?... Doprawdy, ręce twoje drżą febrycznie!

— Jak się ten pałac nazywa? — rzucił książe pytanie w nerwowem rozdrażnieniu, zamiast sam odpowiedzieć.

— *Il palazzo Marini!*

— *Il palazzo Marini?* — powtórzył książe. — Nie zamieszkujesz go sama milady?... Jesteś tu tymczasem... z wizytą?...

— Przeciwnie! Jestem u siebie i mieszkam sama jedna w całym pałacu, z moim starym opiekunem i nauczycielem.

— Daruj milady... ale musi być chyba w Neapolu drugi pałac tego nazwiska?

— Nie milordzie... i właśnie tutaj czekają na ciebie.

Surowość ponura wybiła się teraz w rysach lady Stéve, a z ust zniknął igrający na nich dotychczas uśmiech ironiczny.

— Tu mnie oczekują?... Wiesz zatem...

— Wiem, że *L'Ombra* dała ci tutaj *rendez-vous*!...

Willjam zbliżył się szybko do lady Stéve, której mina dumna i pogardliwa, niemal zaniepokoiła Barini'ego. Nie rozumiejąc języka angielskiego, myślał, że uchybił w czem Erminji ten obcy intruz. Chciał już na pomoc jej pospieszyć, gdy zatrzymała go gestem rozkazującym.

— Nie ruszaj się z miejsca — szepnęła mu do ucha — to mój kuzyn lord Whitefield.

A zwróciwszy się do Willjama:

— Chciej usiąść milordzie — uroczyście przemówiła. — Mam z tobą właśnie pomówić o tej, którą spodziewałeś się tutaj zobaczyć. Nie znasz jej zupełnie, mnie więc zleciła, dać ci, co się tyczy jej osoby, wszelkie objaśnienia.

— Dla czegoż atoli jej tu nie ma?

— Dowiesz się natychmiast milordzie. *L'Ombra* jest moją przyjaciółką.

— Twoją przyjaciółką milady?...

— Tak jest! Mówiłam ci przecież milordzie, że u nas talent zastępuje, a nawet wyższym jest nad wszelkie inne tytuły i dostojeństwa. Byłeś wielce surowym, tam w mglistej Anglji, dla biednych artystek. Przypominam sobie, żeś mi raz powiedział kategorycznie: „Takim kobietom nie oddaje się nazwiska."

— *L'Ombra* jednak jest inną, niż ogół tych istot i jeszcze raz ci z serca dziękuję milady, żeś jej wtedy bronić raczyła.

— Nie potrzebowała tego — Erminja dumnie odrzuciła — gdyż jest ci równą milordzie majątkiem i urodzeniem.

— Nie chcę nic o tem wiedzieć! — Willjam energicznie zaprotestował. — Muszę ci się przyznać lady, żem cię wtedy oszukiwał pozornem lekceważeniem artystek. *L'Ombra*, choćby wyszła ze sfer najniższych społeczeństwa, należy do tego rodzaju kobiet, którym

powierzamy bez wahania nasz honor i nazwisko nasze oddajemy.

— Razem z sercem? — dodała Erminja.

— Tak jest! i serce! gdyż pokochałem ją namiętnie od pierwszej chwili, gdy na niej spoczął wzrok mój zachwycony!

— I zapomniałem o niej po trochę, skorom ją z oczu stracił! — wtrąciła Erminja drwiąco. — Wszak jeśli się nie mylę i mnieś to samo serce ofiarował milordzie, prosząc o schadzkę w pawilonie?

— To prawda milady... Natchnęłaś mnię była uczuciem głębokiego szacunku, a nawet szczerze byłem się do ciebie przywiązał i; życzyłem sobie takiej jak ty życia towarzyszki. Przy końcu atoli obeszłaś się ze mną bez miłosierdzia, wydrwiłaś i zawiodłaś moje oczekiwanie w sposób okrutny. Dziś muszę wyznać z całą otwartością, żeś dobrze uczyniła. Wiedziona nieomylnym instynktem kobiecym, odgadłaś, iż kocham inną miłością namiętną!

— Ach! przyznajesz się więc dobrowolnie do zdrady haniebnej milordzie! — wybuchnęła lady Stéve z całą gwałtownością. — Twoje czułe spojrzenia, twoje słowa były kłamstwem! Prosząc mnie, abym do ciebie należała, *L'Ombrę* kochałeś?!

— Nie milady, anim cię zdradzał, ani oszukiwałem! Uwierzyłem święcie, iż *L'Ombra* dla mnie stracona i zwolna zostałem oczarowany twoją pięknością, dobrocią i rozumem. Imię *L'Ombry* atoli rzucone przez ciebie od niechcenia, ostrzegło mnię dość wcześnie, iż nie jestem uleczony z pierwszej mojej miłości. Widok *L'Ombry* rozpłomienił w sercu mojem dawną namiętność, oto jest cała prawda. Winien ci byłem kuzynko tę spowiedź szczerą, i dodam nawet — tak ufam twojej dobroci i poczuciu sprawiedliwości — iż wczoraj wieczór, podczas koncertu, prosiłem *L'Ombrę*, żeby raczyła zostać żoną moją.

— Czyś pomyślał o tem milordzie, że będzie nosić nazwisko matki twojej?

— Nie próbuj kuzynko odwieźć mnie tym razem od zamiaru powziętego nieodwołalnie. Idzie tu o szczęście całego życia mojego!... Czy mogę liczyć na ciebie, że raczysz mi być pomocną w tej sprawie?

— Nie milordzie!

— Zmieniłaś się więc w moją nieprzyjaciółkę?

Nie otrzymując odpowiedzi, a spotrzegłszy wyraz gniewu nieubłaganego w oczach Erminji, a na ustach uśmiech szyderski, Willjam żywo zawołał:

— Skoro tak jest milady, żądam widzieć *L'Ombrę* w jej własnej osobie, tak jak mi to wczoraj obiecała!

— Nie zobaczysz jej więcej milordzie! Potrafię obronić ją przed tobą!

— Nie masz prawa wciskać się pomiędzy nas milady! Gdzie jest *L'Ombra*?

— Dowiesz się o tem natychmiast książe! - Erminja zerwała się z fotelu, a pociągnąwszy ruchem gwałtownym Barini'ego do otwartego fortepianu, zawołała rozkazująco:

— Zaakompaniuj mitrzu kochany Irmy *cavatinę*!

Z głową dumnie podniesioną rzuciła w przestrzeń głosem niezrównanym: „*Astro d'amor, ch'in ciel mi segui nel tuo viaggio, Versa un pui di coraggio, su lei, che m'inraghi.*"

Willjam zrazu osłupiał, następnie krzyknął przeraźliwie, i nie dając jej dokończyć, porwał gwałtownie za obie ręce.

— Co to znaczy? Kim-że ty jesteś lady?

— Jestem *L'Ombrą*, która ci nigdy nie przebaczy!

W Willjama rysach wyrazistych odmalowały się jednocześnie: najwyższe zdziwienie, ból i rozpacz bezgraniczna. Z dłoni stygnących wypuścił ręce lady Stève, zatoczył się jak pijany, i upadł zemdlony na posadzkę marmurową.

Na ten widok Erminja zapomniała o gniewie, o zniewadze jej wyrządzonej, rzuciła się na kolana obok ukochanego, przywołując go najsłodszemi imionami, skrapiając łzami żalu tę twarz tak piękną jeszcze, mimo bladości śmiertelnej.

— *L'Ombra!...* — szepnął książe, do życia wracając.

— No! *L'Ombra*! — wykrzyknął Barini. — Czyż jest taki głos na całym, bożym świecie?!

Z gadatliwością Włocha prawdziwego zaczął trzepać, wymachując rękami, o cudownej przemianie jego elewki, lady Stève, w *L'Ombrę* czarno-włosą... Willjam atoli nie dał mu dokończyć. Nagle siły odzyskawszy, powstał z ziemi, a porwawszy prawie na ręce Erminję, uniósł ją z sobą do najodleglejszego narożnego gabinetu.

. . . .

W rok później książe Whitefield ze swoją młodziutką małżonką powracając z Alpino, zatrzymał się w Medjolanie. Przechadzając się wieczorem razem po terasie hotelu, przeczytali na afiszu najnowszą operę maestra V., z Adeliną Patti w roli Irmy.

— Chcesz mój aniołku spędzić godzin kilka w La Scala? — spytał czule Willjam. — Mamy jeszcze dość czasu na to.

— Najchętniej!—odpowiedziała Erminja, podnosząc na niego z wyrazem najwyższej miłości, swoje przecudne oczy lazurowe.

Zarzuciła tylko na głowę, na wzór Hiszpanek, czarną koronkową mantylę, i ukryła się z mężem w małej loży parterowej, przysłoniętej firanką z ciężkiego adamaszku ponsowego.

— Ach! — zawołał Willjam. — Kto ciebie słyszał, nawet Patti zadowolnić go nie potrafi!

Erminja wcisnęła się w kącik loży najciemniejszy; o ścianę oparta, osłonięta cieniem firanki, z czarną koronką na jasnych włosach, zmieniła się nie do poznania; tylko oczy niebieskie świeciły w ciemności, wpatrując się z roskoszą w twarz ukochanego.

— Jakaś ty do *L'Ombry* podobna! —szepnął książe, i nachyliwszy się ku niej, wycisnął na ustach koralowych, długi, namiętny pocałunek.

Gdyby jasnowłosa Erminja mogła była w tej chwili zajrzeć na samo dno serca mężowskiego, możeby jeszcze i dzisiaj doświadczyła uczucia zazdrości, dla tego swojego cienia zwodniczego!

Alfa.

KONIEC.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.